

AUTOBIOGRAFIA NARRATORKI 3

CZEŚĆ I – BIOGRAFIA PRZEŻYTA

Mam 34 lata. Moja historia jest dość prosta. Pominę w niej wątki poboczne; o nich pisać nie będę. Napiszę o tych, które zaliczam do głównych „dróg”, w wyniku których JESTEM TU GDZIE JESTEM W SWOIM SZCZĘŚLIWYM ŻYCIU. A „wąskie i kręte ścieżki” pozostawię dla siebie i dla tych, którzy ze mną po nich podróżowali.

Patrząc na swoje życie dostrzegam pewne okresy; są to takie główne ery, które stanowią początek i zarazem koniec jakiejś części mojego życia. Ale do rzeczy ...

DZIECIŃSTWO

Fot. 1 Mam 2 latka



Od urodzenia mieszkałam na wsi, niewielkiej, biednej. Dominował w niej Kościół (kapliczka, ale zawsze po brzegi wypełniona ludźmi), PGR, w którym pracowała większość mężczyzn zamieszkujących ten mały światek oraz szkoła. Ci, którzy nie pracowali w PGR, popijali duże ilości alkoholu stojąc (lub leżąc) pod wiejskim sklepem. W sumie to jako dziecko biedy nie widziałam, bo nie umiałam jej dostrzegać. Teraz, z perspektywy dorosłej kobiety, widzę ją w swoich wspomnieniach. Nieoficjalnym podziałem „administracyjnym” mojej wsi (głównie rozpowszechnionym wśród dzieci) były: wioska i bloki. „Wioska” to stara

część wsi, zamieszkała głównie przez rolników z ich rodzinami. W tej części znajdował się również kościół i szkoła. Druga część to bloki, wybudowane z myślą o pracownikach PGR. Moja wieś została przeze mnie przemierzona wzdłuż i wszerz biliony razy. Znałam wszystkie jej możliwe zakątki, jednak zawsze znalazło się coś, co nie zostało odkryte i niepoznane. A takimi najbardziej zapamiętanymi miejscami zabawy i różnych odkryć zarazem, był właśnie PGR – wiosną, latem, jesienią i zimą. Biegaliśmy po kwaterach razem z cielakami, podglądaliśmy pracujące kobiety i mężczyzn dojących i obrządzających krowy, skakaliśmy po stogach słomy, zwiedzaliśmy stare strychy i pomieszczenia wypełnione zbożem, kukurydzą. Tak, te miejsce pozostały w moich snach. I kamienna droga przez bramę, która prowadziła do tych wszystkich fascynujących miejsc. Prócz PGR-u było także stare, rozwalone przez piorun drzewo. Idealne miejsce na domek na drzewie. Były tam takie małe zakamarki, w które można było schować siebie. Zabawa toczyła się też w piwnicach bloków mieszkalnych. Chłodnych i strasznych. Zimą cała wioska zamieniała się w lodowisko. Można było jeździć po niej sankami, a nawet łyżwami. I te niebezpieczne kuligi na worku ze słomą, który pędził za traktorem z prędkością nawet 50 km/h. Zamykam oczy i widzę siebie biegnącą, szalejącą z dziećmi. Nigdy, przenigdy się nie nudziłam.

W domu była Babcia, bo Mama i Tata pracowali, poza wsią. Dziadek w PGR. A mój Brat wolał raczej książki. W domu było dość ciasno: 2 pokoje, kuchnia, 2 rodziny (babcia, dziadek, mama, tata, brat i ja). Pamiętam dużą i długą kuchnię, z leżanką przy oknie, piecem kaflowym, stołem. Kuchnia zastępowała też łazienkę, której w domu nie było. Był też taki schowek na jedzenie, mały, przyjemnie tam pachniało. Toaleta była na zewnątrz, w ogródku gospodarczym. Potem, po latach, w domu pojawiła się łazienka, toaleta, a po następnych latach dodatkowy pokój. W sumie było dość ciasno, ale ciepło.

Z dzieciństwa pamiętam też przedszkole, do którego uczęszczałam już od bardzo wczesnego okresu swojego życia, chyba od 2 r. życia. Moja przyszywana Ciocia była w nim przedszkolanką, więc mnie zabierała. Pamiętam, że było miło. Były zabawki, dywan i miłe Panie. Był strój policjanta, w który się przebierałam, bo w przyszłości chciałam zostać policjantką. Co zapamiętałam? Szczególnie dwie sytuacje, chyba edukacyjne. Nie pamiętam ile wtedy miałam lat. Pierwsza – pewnego dnia Pani Wychowawczyni uświadomiła mi, że źle się podpisuję na swoich rysunkach. Do tej pory byłam pewna, że trzy czy niby litery, które stawiam w górnym kącie kartki to moje imię. Okazało się, że jestem w błędzie, a Pani pokazała mi, jak faktycznie zapisuje się moje imię. Ta sytuacja była dla mnie szokiem! Do dziś ją pamiętam. Zastanawia mnie, dlaczego? Czy z tego powodu, że ktoś mi zwrócił uwagę, że źle coś robię? Czy z powodu szoku, że coś do czego byłam w 100 % przekonana jest źle

robione? Druga sytuacja – to jak bawiłam się z innymi dziećmi w sali, w której nie było Pani wychowawczyni. I chyba bawiliśmy się w wojnę, skakaliśmy po ławkach i stołach. No musiało być głośno, bo nagle do sali wpadła wściekła Pani Dyrektor całej szkoły (przedszkole było w szkole) i nic nie mówiąc zaczęła nam wymierzać lanie długim jak cholera kijem. Wyglądał jakby był do bejsbola. Mnie się też oberwało, pomimo, że byłam w przedszkolu na dość preferencyjnych warunkach. Przyszywana ciocia była przedszkolanką, Babcia panią sprząającą i palącą w piecu, a dziadek (dawno temu) był dyrektorem tej szkoły. Tak na marginesie, zawsze trudno mi było to pojąć, że mój dziadek był Dyrektorem szkoły, miał mnóstwo książek (polskich, rosyjskich), w których się zaczytywał, dymał nad nimi. A w życiu codziennym był totalnie do niczego. Babcia zajmowała się czterema synami, domem, polem i nim. Sobą się nie zajmowała i nikt nie zajmował się nią. Do dziś wydaje się nieszczęśliwa, sfrustrowana i zmęczona życiem. Przeszła wiele, przeżyła mnóstwo cierpienia, upokorzenia w swoim życiu. Teraz jest ze stali. Tak jej zostało. Ale wracając do wątku Pani Dyrektor, podobno była bardzo dobrym nauczycielem języka polskiego, choć surowa do bólu. Zresztą kiedyś były inne czasy, także pod względem pedagogicznym i szkolnym. Acha, szczególnie zapamiętałam też boisko, ponieważ na przerwach grywałam tam w piłkę z chłopakami. I szło mi chyba całkiem nieźle, jak na dziewczynę. Czy lubiłam chodzić do przedszkola? Tak, fajne było to, że się tam nie nudziłam i czułam dobrze, bezpiecznie.

Z tych najwcześniejszych lat swojego życia zapamiętałam jeszcze wyjazdy do Wrocławia z moją Mamą. Była zapracowana, po swojej regularnej pracy jeździła do Wrocławia do naszego zamożnego wujka, któremu pomagała w domu: sprzątanie, gotowanie, prasowanie. Mama mówi, że zabierała mnie ze sobą już od maleńkości – jak byłam jeszcze dzidzią w wózku. Leżałam sobie w gondolce w Fiacie 126 p. Zapamiętałam te wyjazdy szczególnie. I takie przekraczanie granicy między moją miejscowością, a Wrocławiem – granica przebiegała na takiej górze, z której widoczna była w oddali panorama Wrocławia i kominy elektrociepłowni na Nadodrze. Potem wjeżdżałyśmy do Wrocławia; stopem, autobusem, autem, wsiadałyśmy w tramwaj na Nadodrze i jechałyśmy do wujka. Już wtedy byłam zakochana w tym mieście. Wielkie, tętniące życiem, głośne, chaotyczne. Tyle różnych ludzi w różnych sytuacjach. Wrocław pozostał w moich snach. Dobrze, a wręcz szczegółowo zapamiętałam dom wujka. Piękną willę na Sępolnie-Zaciuszu. Myślę, że to najpiękniejsza dzielnica Wrocławia. Stare, poniemieckie wielkie kamienice, dużo zieleni, starszych ludzi. Dom wujka był piękny, biały, miał duży ogród, a na samym dole, czy też na paterze znajdował się pokój-sala, w którym panie krawcowe szyły suknie ślubne i komunijne. Cudowne, piękne, białe, koronkowe! W tym pokoju był duży stół, na którym wykrajano

sukienki, 3-4 osobne stanowiska z maszynami do szycia i WIELKI WIKLINOWY KOSZ, w których było mnóstwo skrawków materiałów: gładkich, koronowych, białych i lekko różowych. Szyłam z nich ubranka dla lalek. Na górę domu prowadziły kręte i wąskie schody – często śnia mi się w nocy (prawdopodobny syndrom mojej klaustrofobii). Na piętrze był korytarz, kuchnia, jadalnia, pokój z biblioteczką i salon. Wszystko wielkie, pięknie i stylowo umeblowane drewnianymi stołami, fotelami, szafami, komodami itd. Na ścianach obrazy. Każdy pokój miał swój klimat i dla małego dziecka był wielką atrakcją. A na stoliku obok lampki stał prawdziwy telefon z wykręcaną tarczą, którym często się bawiłam – raczej bez zgody Mamy. Wybierałam jakieś nieznane mi numery i zdarzało się, że ktoś odzywał się po drugiej stronie i słyszałam: „halo”. Dzwoniłam także pod numer, pod którym Pani czytała bajki! Nie wiem, czy to mój wymysł, czy naprawdę tak było, że leciały tam bajki? A na 2 piętro prowadziły schody, szerokie i usłane pięknym dywanem. Był tam pokój z telewizją przedzielony drzwiami do sypialni – a w niej ogromne łóżko! Spał z nim wujek. Była jeszcze ciocia, którą pamiętam, choć zmarła, jak byłam mała. Miała swój osobny pokój. Podstarzała, elegancka, luksusowa. Stać ją było na drogie ciuchy, wycieczki itd. Ale była zgorzkniała, samotna, milcząca, chyba nieszczęśliwa z wujkiem. Nie mieli dzieci. Dom był tylko dla nich, ale nie umieli w nim razem żyć. Wujek całymi dniami jeździł po swoich i innych sklepach handlować sukienkami, a ona – pochodząca z bardzo majątnej rodziny – chyba nie pracowała i spędzała czas w domu. Dla mnie ciotka była miła, miała taki swój charakter. Wujek po latach okazał się z kolei człowiekiem o mało ciepłym serce. Wracając do domu, był w nim jeszcze wielki cudny taras z ulubioną bujaną huśtawką ogrodową. Garderoba z mnóstwem ciuchów i wielka łazienka pachnąca zapachem czerwonego „old Spice”. Kolejne schody prowadziły na strych, na którym moja mama wieszała wypraną i wykrochmaloną pościel. Chodziłam tam z nią. Były na nim jakieś stare rzeczy, ale słabo to pamiętam. Jeszcze jeden wątek z tych wrocławskich wizyt u wujka – nieopodal domu, za zielonym skwerkiem, znajdował się kiosk, w którym było mnóstwo różnych zabaweczek, gumy do żucia itd. Moja Mama dawała mi pieniądze i wielką atrakcją było dla mnie chodzenie do tego kiosku i kupowanie kolejnych małych pierdółek.

SZKOŁA PODSTAWOWA (OD 1-5 KLASY)

Szkoła podstawowa to stara, mała szkółka (ta sama, w której było przedszkole), jednak już trochę inna, na nowo poznawana z innej perspektywy. Pamiętam małe klasy szkolne, kancelarię nauczycielską i schody do klasy znajdującej się w górnej części szkoły i strych, największy na świecie. Pełen kurzu, drewnianych belek, gorący latem, lodowaty

zimą. W zasadzie to nikt z dzieci nie mógł tam wchodzić, ale dzięki temu, że ciocia i babcia pracowały w szkole, wchodziliśmy tam kiedy już nikogo nie było. Razem z kuzynkami i kuzynami wykradaliśmy klucze i poznawaliśmy strych na swój sposób.

W szkole nic się nie działo, nic mnie w niej nie fascynowało, uczyłam się dobrze, bo rodzice zwracali na to uwagę i dużo mówiło się o tym, żeby się uczyć. Ale jakaś specjalnie zdolna i wybitna nie byłam. Co prawda, miałam same piątki, ale w szkole podstawowej trudno ich nie mieć. Po szkole odrabiałam lekcje, najczęściej mama je sprawdzała i tyle. Z takich szkolnych wspomnień zapamiętałam jedną dramatyczną scenę. Mianowicie, za Pani z matematyki, za brak znajomości tabliczki mnożenia, biła dzieci po rękach potwornie długą linijką. Wołała je za środek sali i wymierzała publiczną „chłostę” linijką. Moje koleżanki i koledzy podskakiwali z bólu, płacząc i łkając żałośnie. W dzisiejszych czasach taka sytuacja skończyłaby się więzieniem dla tej Pani z matematyki.

Szkoła to także pierwszy kontakt z harcerstwem. Pamiętam, że dla nas, dzieci ze wsi, była to mega atrakcyjna oferta spędzania czasu! W końcu ktoś zajął się nami i organizował fajne zajęcia. Niestety trwało to dość krótko. Zapamiętałam pasowanie na zucha i taki niby egzamin, który wcześniej trzeba było zdać. A potem to pamiętam tylko, że Pani wysyłała mnie na jakieś muzyczne konkursy – festiwale harcerskie. Miałam śpiewać, ale szło mi średnio. Było dużo lepszych osób, a ja ze swoim głosikiem byłam przeciętna. W międzyczasie urodził się mój Brat. No i już nie byłam sama :-). Na początku mieliśmy kontakt typowy dla większości rodzeństwa – kłóciliśmy się, biliśmy i raczej słabo za sobą przepadaliśmy. Sytuacja zmieniła się w późniejszym okresie naszego życia. Na lepsze, ponieważ mieliśmy i mamy bliskie relacje.

W tym okresie miałam także mały epizod z mieszkaniem we Wrocławiu. Moi Rodzice dostali od mojego wujka (tego właśnie z Wrocławia, do którego jeździłam z Mamą) propozycję zamieszkania w jego pięknej willi. Dostaliśmy 2 pokoje na paterze, dostęp do aneksu kuchennego, łazienkę. Taty nie było, bo pracował w tym czasie za granicą, Mama była sama z nami – ze mną i z bratem. Na wsi zostawiliśmy dziadka i sporą rodzinę. Przy okazji naszej przeprowadzki pojawiło się dużo różnych nieprzyjemności. Nie wszyscy bowiem byli zadowoleni z tej decyzji, np. dziadek, który bardzo to przeżywał i poczuł się bardzo samotny. Myślę, że był to trudny czas dla mojej Mamy. To ona musiała stawić czoła wszystkim pytaniom, problemom. Ja byłam dzieckiem i niewiele się tym przejmowałam, choć dochodziły do mnie niepokojące sygnały. We Wrocławiu byliśmy jakby sami. Rodzice mieli wielką nadzieję, że lepsze życie. Dwa osobne pokoje zamiast ciasnoty itd. Wyszło jednak inaczej, ponieważ po niespełna paru miesiącach, może roku wróciliśmy na wieś. W zasadzie

to nie miałam żadnego pojęcia o tym, że wujek z ciepłej i dobrej osoby zamienił się w sfrustrowanego, apodyktycznego starego dziada. Pamiętam, że kiedyś przez przypadek podsłyszałam, jak czepia się mojej Mamy. Od tego momentu zaczęłam go nienawidzić. Parę lat później sytuacja powtórzyła się, ponieważ zamieszkałam u niego będąc w pierwszej klasie liceum. Po paru miesiącach musiałam się wyprowadzić, bo przestało mu odpowiadać, to że tam mieszkam. Wujek był pierwszą osobą, której nie lubiłam w swoim życiu. To był taki mój pierwszy kontakt z nieuczciwym, zepsutym człowiekiem. Był jednak jeden fajny efekt przeprowadzki do Wrocławia. Uczęszczałam tam do szkoły podstawowej. To była duża szkoła integracyjna, nieopodal domu dziecka. I było mi tam dobrze. Poznałam fajnych ludzi, nauczycieli, miałam ciekawe zajęcia. Zdecydowana różnica, pod wieloma względami, między szkółką na wsi i tą we Wrocławiu. Dobrze zapamiętałam zajęcia z w-fu, ponieważ były one prowadzone wspólnie z osobami niedosłyszącymi. Rywalizowaliśmy z nimi, w zasadzie były to same dziewczyny. Z tamtego okresu pamiętam też moją wrocławską miłość – chłopaka o imieniu Paweł i pierwszą przyjaciółkę – Anię. Do dziś mam ich zdjęcia. Było mi naprawdę dobrze, nie odczuwałam żadnych trosk, problemów. Byłam aktywna, starałam się uczyć dobrze.

Powrót na wieś był taki sobie. Pamiętam, że ze strony nauczycieli poczułam lekką wrogość. Być może stał za tym taki „triumf” z ich strony, że jednak się nie udało i z wielkiego miasta powrotem wróciłyśmy na małą, zabiedzoną wioseczkę. Choć i tak pewnie najbardziej w tej sytuacji oberwało się mojej Mamie. W końcu wróciliśmy na stare śmieci.

Po powrocie zaczęłam nowy okres w swoim życiu.

DOJRZEWANIE – szkoła podstawowa (klasy od 6-8)

To okres, w którym ujawniły się, w dodatku szalenie mocno, moje emocje. Do tej pory odczuwałam taki spokój dziecka, a potem było już nieco barwniej ... Na mojej wsi było tylko pięć klas, więc szkołę podstawową wszystkie dzieci kontynuowały już w mieście gminnym, znajdującym się w odległości 3 km. Klasa była łączona i składała się z dzieci, które dojeżdżały z różnych wiosek. Więc był to mix osób z różnych środowisk. Trafiłam do klasy, w której były zdolne i uczące się dziewczyny oraz nieuczące się i sprawiające problemy wychowawcze chłopcy. Oczywiście, nie wszyscy sprawiali problemy, ale tak ich jakoś zapamiętałam. Ja też się uczyłam, miałam piątki, ale były dziewczyny zdolniejsze, może bardziej pracowite. Ja po prostu miałam wdrutowane, że trzeba mieć piątki, ale nie szła za tym żadna chęć uczenia się. Wołałam inne rzeczy. Na przykład, zapisałam się na karate

(chyba nawet jeszcze wcześniej przed rozpoczęciem szkoły w mieście). Potem na taniec! Nauczyciele byli w porządku, różni, ale dobrzy i chyba uczciwi. Nie miałam z nimi żadnych problemów.

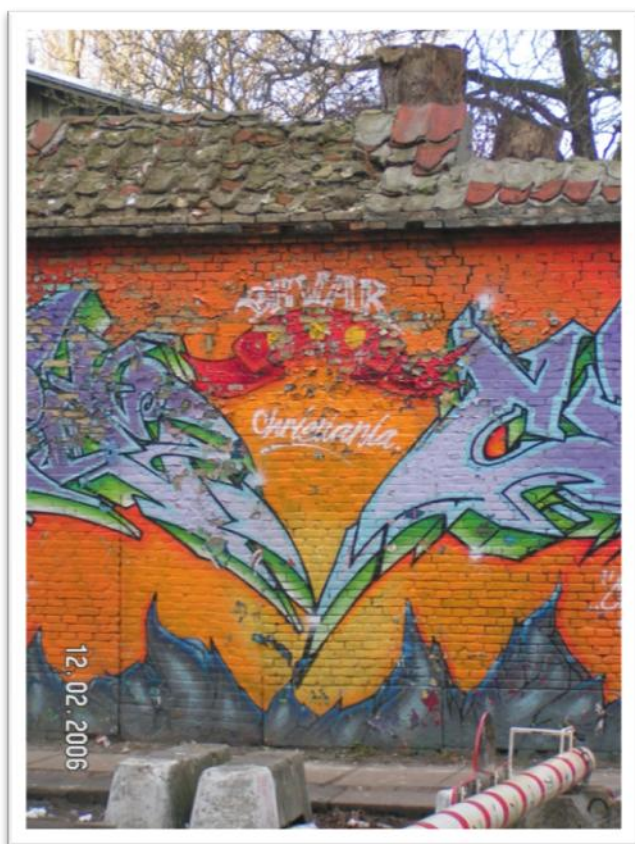
Na początku, jak przyszedliśmy do nowej szkoły, to straszono nas, że będą nas „kocić”, czyli trochę tak gnębić. W sumie skończyło się na jakiejś jednej sytuacji w toalecie. Chyba dostałam klapsa lub kopnięto mnie w tyłek i na tym się „kocenie” skończyło. W szkole i klasie czułam się dobrze, nie miałam problemów. Nawiązywałam bliskie znajomości, zarówno te klasowe, jak i poza. Miałam przyjaciółkę w klasie, koleżanki i było ok. Dużo się śmiałyśmy, pomagałyśmy sobie. W szkole byłam chyba rozpoznawana, to prawdopodobnie przez moje włosy. A potem, przez to, że zaczęłam tańczyć i szło mi całkiem nieźle. Chyba nawet miałam powodzenie. W tym okresie zaczęli istnieć dla mnie chłopcy. Miałam nawet jakieś tam pierwsze miłości. Liściki, puszczanie oczka, spacer. No i taka moja pierwsza miłość, którą bardzo przeżyłam, bo chłopiec w końcu mnie zostawił i ja przez cały jeden dzień za nim płakałam. Potem dość szybko mi przeszło. W szkole jeździłam też na zawody sportowe. Dość szybko biegałam na krótkie dystanse i Pani z w-fu stwierdziła, że powinnam jeździć na zawody. Pamiętam taką starą nyskę, która nas na nie wożono. Strasznie tego nie lubiłam, stresowałam się i absolutnie się nie nadawałam do rywalizacji. Wobec czego szybko z tego zrezygnowałam. Osiągnięcia jakieś tam małe miałam, ale nie były one znaczące.

Taniec! Zaczęłam tańczyć w miejscowym domu kultury. Na początku było dość ciężko, ponieważ parę osób zaczęło mi dokuczać z tego powodu, że jestem ze wsi itd. Chyba trochę było w tym zazdrości. Na szczęście szybko przestali, a ja mogłam już tylko tańczyć. Poznałam dużo fajnych dziewczyn, jeździliśmy na turnieje tańca, kibicowali nam przystojni chłopcy. To było takie moje drugie życie, obok tego szkolnego, ułożonego i grzecznego. Powiem szczerze, że dzięki temu, że byłam w tym klubie tańca poznałam trochę takie inne życie. Takie nie zawsze grzeczne. W tym czasie byłam też na swojej pierwszej imprezie, na której był alkohol i papierosy! Zawsze miałam jakieś takie szczęście w życiu, że nie rzucałam się w te „niebezpieczne” sprawy, tylko tak mijałam je w bezpiecznej odległości. Co nie znaczy, że nie próbowałam :-). Taniec sprawił mi radość i to było to, co mogłabym robić nieustająco. Nie nudził mnie, nie męczył. Mógł stać się moją pasją, gdybym starała się bardziej kontynuować go w okresie liceum. Tu miałam jakieś małe osiągnięcia, ale nie były one też jakieś wybitne. Uczęszczanie do klubu dało mi możliwość wyładowania swoich emocji. Co prawda, czułam się spokojna, w zasadzie bezproblemowo, ale od czasu do czasu dawały o sobie znać jakieś takie różne emocje. Zmienne nastroje, zamyślenie. Sama nie wiem, jak je nazwać, ale były one czymś, co z jednej strony dodawało mi takich skrzydeł do

pisania wierszy, tańca, z drugiej trochę pograżały w takim smutku, tęsknocie. Chyba to takie emocje wieku dojrzewania. Zacztywałam się z „Dziewczynie” marząc o przystojnym chłopaku i karierze fotomodelki :-)

DOJRZEWANIE – liceum

Fot. 2 Christiania w Kopenhadze – fotografia, która jest takim metaforycznym obrazem okresu liceum, czyli czasu WOLNOŚCI.



Źródło: fotografia pochodząca z własnej kolekcji.

Spore tąpnięcie w mim życiu nastąpiło, jak poszłam do liceum. Wybrałam profil literacko-teatralny w jednym z wrocławskich liceów. To był chyba najlepszy wybór w moim życiu. Czas liceum nie był łatwy – moje emocje dawały o sobie znać bardzo wyraźnie. W domu był to czas kłótni i nieporozumień z mamą. Bolesne dojrzewanie. W tym czasie mieszkałam sama we Wrocławiu, najpierw na stacji, potem w internacie. Miałam zupełną wolność!! A emocje były szalone, poplątane przez różne wydarzenia, niemniej zawsze miałam obok siebie ludzi, z którymi mogłam się nimi dzielić i „wlewać je” w działania

twórcze. Na pewno był to czas wielu zmian – począwszy od wizerunku (tj. od blondynki z długimi włosami w dresach, po *femme fatale* w rudych, wiśniowych, ciemno brązowych włosach), po zmiany w światopoglądzie – w przekonaniach, postawach, religii. Oj, to był szalony, twórczy czas ... W tym okresie, w swojej klasie spotkałam prawdziwych przyjaciół, wspaniałe i piękne osoby, które były takie jak ja – nieco pogubione, potykające się, ale odważnie poszukujące i dążące do swojego celu. Choć obecnie wszyscy jesteśmy w różnych miejscach, czasie i sytuacjach życiowych, „mam” ich do dzisiaj i z tą myślą żyje mi się łatwiej, lżej. Tak, to chyba najbardziej intensywny okres w moim rozwoju.

Klasa o tym zdecydowanie humanistycznym profilu była prowadzona w liceum, w którym królowała matematyka. To jedno z lepszych liceum we Wrocławiu. Wielu uczniów było olimpijczykami, uczęszczało na zajęcia prowadzone przez wykładowców wyższych uczelni. Poziom wysoki, świetna zdawalność matury ... Słowem – szkoła geniuszów! Wyjątkiem była moja klasa :-) Punktacja z egzaminów wstępnych była o wiele niższa aniżeli na innych profilach. Niewiele osób się uczyło. W zasadzie to większość robiła tyle tylko, ile potrzebne było, aby zdać do następnej klasy. Matura też poszła nam tak sobie. Ale to co nas wszystkich zajmowało realizowane było zazwyczaj po szkole: warsztaty teatralne! I tu większość z nas odnajdywała swoją pasję. Wychowawca był fantastycznym pedagogiem i animatorem działań artystycznych. Organizował nam warsztaty, wyjazdy na cudne przedstawienia teatralne do Krakowa, bardzo pomysłowo reżyserował wystąpienia z naszym udziałem: od teatralnych po muzyczne. Jako że byliśmy otwarci na dowolne specjalizacje teatralne (taneczną, pantomimiczną itd.) szybko zaczęliśmy odpowiadać za artystyczną stronę szkoły. Przy okazji różnych wydarzeń czyniliśmy honory grupy, która przygotowała jakąś „artystyczną strawę” dla ścisłowców i ich równie ścisłych rodziców. Cała klasa składała się z przeróżnych osobowości i temperamentów, co powodowało, że nie obyło się bez problemów wychowawczych. Był taki moment, że nasz profil-klasa miała zostać rozwiązana. Na szczęście przeżyliśmy wszystkie problemy i co więcej, zawsze jakoś sobie radziliśmy z ludźmi, którzy mieli wobec nas złe intencje, typu dyrektor itd. W szkole wołano na nas cyrkowcy! Byliśmy kolorowi, ubrani w totalnie eklektyczne style, a zachowanie mieliśmy równie oryginalne. A na dodatek wystrój naszej klasy przypominał scenę teatralną: czarne ściany, cegła, czarne kotary zamiast firan, a na ścianach fotografie z naszych spektaklów teatralnych. Było pięknie!! Byłam sobą!! Z nauką szło mi średnio, fizyka ledwo co, ale jeśli chodzi o zacięcie aktorskie to chyba szło mi całkiem nieźle i byłam jedną z ciekawszych osób, pod tym względem. Oj, musiałabym zapisać parę niezłych książek, aby opisać ten niesamowity czas poszukiwań, przygód, miłości, ale także smutku i pogubienia.

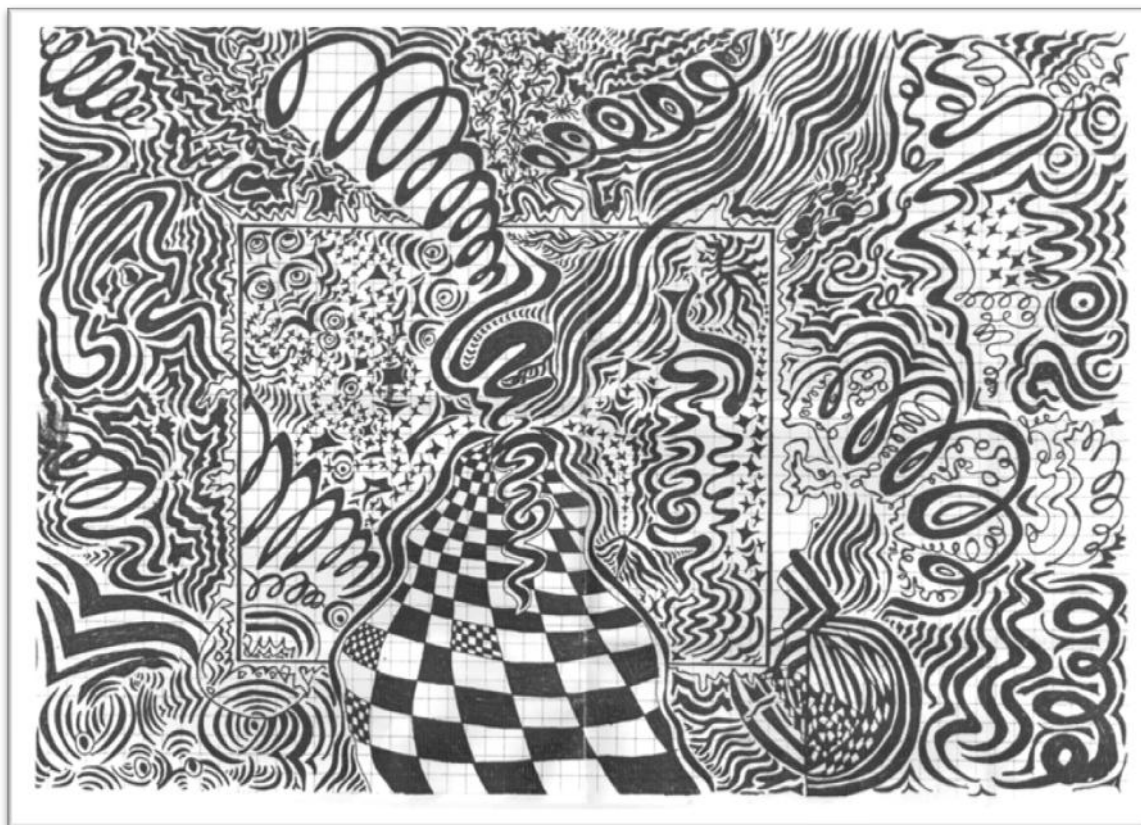
Fot. 3 i Fot. 4 Okres liceum, a także trochę studiów, to taki twórczy okres – prócz aktywności teatralnej, pisałam, rysowałam. Słowem – moje emocje znalazły dobre formy, dzięki którym mogły dać o sobie znać i tym samym opuścić mój umysł i ciało.

Fot. 3 Jakiś wiersz



*Znam kształt Twojej twarzy. Mimo, że nie dotykałam jej nigdy palcami czuję jej ciepło
Nie znam miejsc, gdzie nocują Twoje myśli, jakiego koloru są Twoje oczy kiedy odbijają
się w szybach pociągu. Myślałam o namiętności w nas i poza nami, takiej jaką czuję
kiedy Cię widzę. Lubię z Tobą rozmawiać, zapamiętywać ruch Twoich ust, i patrzeć na
Twoje dłonie, które szybują w powietrzu rysując jakieś tajemnicze znaki...
Czasami myślę tylko o pocałunku w przytłaczającej scenerii miasta. Nie mam nigdy do
kogo uciec z pełną głową geometrycznych przeżyć, dlatego pisałam do Ciebie i nie
byłam już tu tylko tam...W tych listach znajduję to, za czym wyglądam ilekroć znikam w
oknach pociągów i osobowych...Walczę o prawdziwość każdego dnia i o wielkie
zmiany, które nie istnieją. Pisałam o Tobie, bo jest jak jest. Prawdziwie i całą sobą.
To wszystko to taka podróż poza granice miasta...Bo tak naprawdę to nie ma granic
Dziś dopiero pomyślałam, że może Ty nie potrzebujesz tego tak jak ja.
Wypowiem więc trzy magiczne słowa: przepraszam, dziękuję, Martyna...
Choć żal mi się rozstawać z moją Irlandią.*

Fot. 4 Jakiś rysunek



Zaraz po liceum zdawałam do szkoły teatralnej, wybrałam wydział lalkarski. Niestety odpadałam. Byłam zupełnie nieprzygotowana i nieprzekonana do tego typu studiów. Wobec tego poszłam na pedagogikę – zachęcana przez Mamę, że nauczyciel to ma sporo wakacji i szybko kończy pracę, więc „why not”?

STUDIA (pierwszy i drugi stopień)

Dostałam się na studia – pedagogiczne na uniwersytecie – ku swojej i rodziców uciechu. Matura poszła mi tak sobie, więc rodzice myśleli raczej o studiach zaocznych. Studia te bardzo mnie zainteresowały i wzbudziły moją naturalną potrzebę uczenia się. W zasadzie to nuka po raz pierwszy zaczęła sprawić mi przyjemność. Nigdy wcześniej nie uczyłam się z takim przekonaniem i wiarą, że to ma sens. Przy okazji spotkałam też ciekawych ludzi. Zaprzyjaźniłam się z 2-3 osobami, a z pozostałymi to raczej było różnie. Dziewczyny

w grupie nastawione były raczej na rywalizację o piątki w indeksie; słabo to znosiłam. Licencjat upłynął jednak miło. W programie studiów było dużo praktyk, dodatkowo byłam na wolontariacie. To były takie 3 lata kształcenia praktycznego. Pierwszy stopień skończyłam z wyróżnieniem. To był dla mnie duży sukces!

Przez całe studia pracowałam na tzw. promocjach – reklamowałam kawę i słodycze różnych firm. Wiele dni w tygodniu i weekendów było wypełnionych pracą. Dzięki temu zarabiałam swoje własne pieniądze! W sumie to była taka moja pierwsza praca. Dobrze ją wspominam.

Podczas studiów wróciłam też na moment do teatru. Koleżanka z liceum robiła dyplom w studium teatralnym i poprosiła mnie o udział w sztuce, którą wybrała. To była fajna przygoda – powrót do „korzeni”. Po tym spektaklu znowu rozstałam się z teatrem i do tej pory jeszcze do niego nie wróciłam. Wszystko przede mną :-)

Ważnym wydarzeniem okresu studiów było podróżowanie stopem po Europie! Taki powrót do wolności z okresów liceum. Zresztą były to podróże właśnie z moimi przyjaciółmi z licealnych ławek. Wspaniałe, cudowne odkrycia. 3-4 lata pod rząd wakacje były zarezerwowane na te autostopowe podróże. Jeździliśmy 10 osobową paczką – wybieraliśmy ciekawe miejsca spotkań, głównie była to piękna Francja. Docelowo jeździliśmy do Marsylii – obok tego niesamowitego, kolorowego portowego miasta znaleźliśmy w górach miejsce, w którym rozbijaliśmy swój obóz i mieszkaliśmy przez 1-3 tygodni. Rozmawialiśmy, graliśmy na bębnach, poznawaliśmy się bliżej. Taką najważniejszą podróżą stopem był wyjazd z dwoma przyjaciółkami do Londynu. Wymarzyłyśmy sobie pracę w Londynie (granice były jeszcze wtedy zamknięte na Polskę, która nie była w UE). Wjazd do GB był wtedy niezwykle trudny, ponieważ każda z nas musiała przejść przez rozmowę z oficerem, który wypytywał o szczegóły pobytu w Anglii. Udało się nam! A co przy tym ważne – pokonałyśmy trasę z Polski do Londynu w ciągu 24 godzin, STOPEM! Znalazłyśmy mieszkanie, pracę, radziłyśmy sobie nieźle. Niestety właściciel restauracji, w której pracowałyśmy – stary, ohydny Włoch – molestował seksualnie mnie i jedną z moich przyjaciółek. Bez wizy na pracę nie miałyśmy szans się bronić. Pracowałyśmy nielegalnie. To był koszmar i musiałyśmy stamtąd uciekać. Żał było pracy, Londynu, tętniącej życiem codzienności. Postanowiłyśmy się nagrodzić i pojechałyśmy dalej! Cel – Dublin w Irlandii! Udało nam się spędzić tam jeden tydzień – zwiedziłyśmy wszystkie ważne miejsca tego otwartego i zielonego miasta. Tydzień pełen przygód! Potem pojechałyśmy na północ Francji, gdzie spotkałyśmy się z naszymi znajomymi, którzy przyjechali tam na całkowite zaćmienie słońca (w tym miejscu Europy było one najbardziej widoczne).

Po roku znowu kolejna podróż, tym razem z innymi przyjaciółkami. Celem była Holandia – nie udało się co prawda znaleźć pracy, ale spędziłyśmy super wakacje! Potem jeden nieudany wyjazd. A kolejny odbył się już na zupełnie innych zasadach, ponieważ nasz kraj był już w UE. Celem była Anglia – dostałam się tam samolotem, pracę znalazłam przez agencję i pracowałam przez 2 miesiące na taśmie w dużej fabryce. Czas wypełniony był pracą, w wolnej chwili czytałam, ponieważ był to już czas studiów doktoranckich.

Ale wcześniej były jeszcze studia drugiego stopnia. Skoncentrowana byłam również na nauce. Szczególnie zainteresowała mnie metodologia nauk społecznych. Na tym etapie moje uczenie się przyjęło jeszcze bardziej zaangażowaną formę. Coraz częściej zaczęłam myśleć o tym, aby kontynuować naukę. Praktyka coraz bardziej schodziła na plan dalszy. W zasadzie to przestała mnie interesować praca pedagogiczna. Nie widziałam siebie w tej roli. A nauka? Była ciekawą alternatywą.

Pod względem towarzyskim okres studiów należał raczej do spokojnych. W zasadzie był to czas stabilizacji wcześniejszych znajomości i relacji (licealnych). Te nowe, poza jedną bliską mi koleżanką, okazały się chwilowe i nie przekładały się na głębsze relacje. W tym okresie zakończyłam jakiś przedawniony, licealny związek i rozpoczęłam kolejny, nieudany, aż wreszcie spotkałam swojego męża :-)

STUDIA DOKTORANCKIE I PRACA NA UCZELNI

Na ostatnim roku studiów zaproponowano mi studia doktoranckie. To było dla mnie niesamowite wyróżnienie! Po liceum miałam takie poczucie, że nie nadaję się do nauki, a tutaj taka niespodzianka. W czasie studiów pracowałam solidnie i właśnie ten wysiłek został dostrzeżony i nagrodzony przez mojego promotora pracy mgr, a następnie promotora pracy doktorskiej. Myślę, że miałam sporo szczęścia, ponieważ trafiłam na odpowiedzialnych, zaangażowanych i przede wszystkim ufnych prowadzących (promotorów). Pozwolili mi bowiem realizować tematy badawcze, które nie cieszyły się zbyt dużą popularnością i poparciem w środowisku ludzi nauki. Muszę przyznać, że od początku czułam i nadal odczuwam dużą wolność w podejmowanych i realizowanych tematach badawczych. Mimo, iż były trudne momenty, które wynikały z niemiłych konsekwencji wybranego przeze mnie tematu rozprawy doktorskiej, zawsze odnajdywałam wsparcie bliskich mi osób.

Same studia były słabe, mnóstwo powtórzeń, chaos programowy, nuda. Natomiast przygotowywanie pracy od początku mnie fascynowało i szybko stało się taką moją „pasją”. Czytałam, pisałam i często odczuwałam przy tym ogromną przyjemność, a nawet podniecenie! To było jak rozwiązywanie krzyżówek i pokonywanie kolejnych etapów.

Zdecydowanie mniej przyjemne okazało się środowisko ludzi nauki. Mimo, iż nikt nigdy nie wyrządził mi żadnej krzywdy, to jednak nie czułam się dobrze, swobodnie, naturalnie. Oczywiście, były i są osoby – naukowcy, z którymi czuję się bezpiecznie. Większość osób jednak tworzy dla mnie (być może to ja tworzę?) taką barierę, przez którą nie umiem się przebić i poznać, jacy naprawdę są, o czym mówią, poza wyuczonymi „naukowymi” regułkami. To powoduje, że często brakuje mi powietrza, czuję się głupia, nienaturalna i uciekam gdzieś w głąb siebie. Mam tak dość często. Może ostatnimi czasy trochę się zmieniło i czuję się bardziej swobodnie. Może przez to, że bardziej otworzyłam się na tych ludzi? Może nabrałam dystansu? Może przestałam traktować tego typu sytuacje poważnie? Sama nie wiem, czy to moja wewnętrzna bariera, czy zadziałała tu specyfika środowiska naukowców? Będąc studentką zupełnie inaczej wyobrażałam sobie pracowników uczelni. Trochę jako takich nadludzi – zawsze mądrych, pięknych, nieskazitelnych, wyjątkowych. Z bliska okazali się nie-idealni, a momentami nawet „brzydzy”. Mimo to nie miałam większych problemów, aby znaleźć się w tym środowisku, co świadczy o tym, że coś mnie z nimi łączy, jakieś podobieństwa. Jestem jedną z nich? A patrząc na młodych rozpoczynających doktorat widzę ich zdziwienie, niesmak i rozczarowanie. Rzadziej zadowolenie.

Pisanie pracy było dla mnie przyjemną, codzienną pracą. Pod koniec byłam już zmęczona ciągłym myśleniem, ale warto było!

Równolegle do studiów doktoranckich rozpoczęłam pracę na prywatnej uczelni wyższej w roli nauczyciela akademickiego. Zapamiętałam swoje pierwsze zajęcia, kiedy stanęłam przed studentami, zaczęłam mówić i poczułam nagły stres, paraliż mowy. Trwało to parę sekund, po czym poczułam się „jak ryba w wodzie”. Czułam się jak na scenie! Mówię, a wszyscy na mnie patrzą i słuchają! To tak, jakbym wróciła do teatru. Od tej pory czuję się spełniona w tej nauczycielskiej roli. Bywają momenty kiedy czuję się zmęczona, a nawet wypalona. To przez to, że w każde zajęcia angażuję się emocjonalnie i staram się, aby były dobre, ciekawe. Potem przychodzi takie zmęczenie, trochę taki kac :-). To co najpiękniejszego w prowadzeniu zajęć, to fakt, iż spotykam wspaniałych, mądrych, młodych i starszych ludzi. Mają różne pasje, podejście do życia, przeszłość, codzienności i urodę. Zawsze mnie fascynują te piękne, mądre kobiety i mężczyźni. Nigdy nie jest tak samo, bo zawsze różnorodnie. Tak, lubię swoją pracę nauczyciela!

Obrona pracy doktorskiej była dla mnie ważnym wydarzeniem. Tym samym zakończyłam jakiś etap mojej edukacji i rozpoczęłam zupełnie nowy. Po obronie, poczułam taką siłę, która brała się z wiary w to, że to co robię (praca na uczelni, przygotowanie

rozprawy doktorskiej) jest czymś niezwykłym i ma sens. Potem, z każdym rokiem traciłam tę wiarę, aż doszłam do wniosku (całkiem niedawno), że tego typu praca nie jest niczym nobilitującym. Że trochę tak „udajemy” przed sobą, że zajmujemy się ważnymi sprawami. No ale komu potrzebny jest nowy model badań? Nowe podejście do badania problemów dorosłych? Nikomu to „życia nie ratuje”, a często dalekie jest od codzienności tych osób. Czy Ci ludzie potrzebują nauki? Owszem, pisanie, tworzenie sprawia mi ogromną przyjemność, ale w jakim stopniu przekłada się to na praktykę edukacyjną?

Zaraz po obronie zatrudniono mnie na prywatnej uczelni. Pracowałam tam już wcześniej, ale z chwilą obrony otrzymałam etat. Byłam zaangażowana w życie uczelni, starałam się być dobrym wykładowcą. Łącznie przepracowałam tam 8 lat, po czym mnie zwolniono argumentując to redukcją etatów. No comments.

Na uniwersytecie zatrudniono mnie również po obronie, ale od nowego roku akademickiego. Tylko tak jakoś nie umiałam się tym porządnie nacieszyć, ponieważ w tym samym czasie zaszłam w ciążę, no i jakoś tak trudno było mi dzielić energię i emocje pomiędzy ciążą, domem, jednym etatem i drugim etatem. Choć bardzo się starałam. Dotrzymywałam wszystkich obowiązków, prawie wszystkie weekendy spędzałam w pracy. Wstawałam wcześniej rano i chodziłam spać dość późno. Dużo pisałam. To był taki pracowity okres. W międzyczasie starałam się przygotować do macierzyństwa. Dużo czytałam i raczej denerwowałam przyjsciem na świat mojej małej Córeczki.

MACIERZYŃSTWO PO RAZ PIERWSZY

Narodziny mojej Córeczki zmieniły wszystko, ale nie była to zmiana w stylu „przewracanie życia do góry nogami”. Była to zupełnie nowa sytuacja, do której nie byłam w ogóle przygotowana, ani nawet przekonana do tego, że to właśnie ten moment jest tym odpowiednim na macierzyństwo. Uczyłam się wszystkiego od nowa, ale nauka ta nie szła mi wcale lekko i nie była tak przyjemna jak ta na studiach. Taki trudny czas, trudno mi było sobie poradzić z Córeczką, która przeważnie płakała i wymagała 100 % zaangażowania z mojej strony. Nie czułam się jednak zmęczona, tylko taka rozczarowana, że nie radzę sobie w tej sytuacji wystarczająco dobrze. Miałam być perfekcyjną Mamą, a tymczasem byłam zaledwie dostateczną (w mojej subiektywnej ocenie). Tak czy inaczej starałam się bardzo i w zasadzie od narodzin Córeczki każdą wolną, a nawet „zajętą pracą” chwilę spędzam właśnie z nią. Wypełniła całe moje życie i mnie. Jesteśmy ze sobą jakby zrośnięte. To piękne uczucie, ale też bardzo wymagające i może z tego powodu czasami czuję się potwornie zmęczona tym macierzyństwem. Czuję, że dłużej już nie wytrzymam. Na szczęście szybko

mija moja frustracja i znowu przychodzi codzienność i dużo radości płynącej z tego, że ta Malutka Dziewczynka jest najpiękniejszym darem, jaki dostałam od życia. Szczerze.

Łączenie macierzyństwa z pracą szło mi raczej średnio. W pracy uciekałam do domu, z domu do pracy. W żadne z tych miejsc nie byłam zaangażowana na tyle, aby móc w pełni wykonywać swoje obowiązki. To też nie odczuwałam zbyt dużej satysfakcji ani z bycia z moim dzieckiem, ani z pracy. Taki chaos, pośpiech, skrępowanie sytuacją. No i chyba wtedy się zaczęły moje problemy.

Kryzys-zawieszenie

W zasadzie dopiero macierzyństwo ujawniło moje emocje. „Wypluło je ze mnie”. Różne, najróżniejsze stany, wątpliwości, zagubienia, poplątania dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Nie radziłam sobie z sobą, z domem, dzieckiem, mężem, przyjaciółmi, z ludźmi dookoła, z codziennymi sytuacjami. Bolało rozczarowanie życiem. Tylko w pracy oddychałam i sytuacja ta w ogóle nie przekładała się na funkcjonowanie zawodowe. To zawieszenie trwało jakieś 2 lata.

Fot. 5 Kryzys – fotografia będąca ilustracją mojego ówczesnego stanu ducha.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

MOJA CHORWACJA

Dość długo podnosiłam się z mojej życiowej udręki. Bardzo wolno odzyskiwałam siebie i swoje życie. Moim antidotum okazał się mój dom, moja Córeczka i Mąż. Bardzo pomogła mi moja Przyjaciółka, Rodzice i inne Bliskie mi osoby. Zrozumiałam, że tylko to w życiu ma sens. Miłość moich Najbliższych. To właśnie stąd zaczęłam czerpać spokój, utraconą pewność życia i wiarę, że wiele spraw ma jednak swój sens. Uwierzyłam w to, że można i warto kochać ludzi. Poczułam się kochana przez Najbliższych, Rodzinę i Przyjaciół. A reszta już mniej bolała. Z każdym dniem coraz mniej. Oczywiście, nie jest tak, że tę walkę z tymi „przeróżnymi obliczami i stanami siebie” wygrałam raz na zawsze. One są częścią mnie i są we mnie. Są to takie „dziury”, w które wpadam, czyli pewne stare jak ja schematy myślenia i przeżywania, a nawet działania, które nie zawsze niosą dobrą energię. Zdarza się, że te demony wracają, ale nie są już tak groźne jak dwa lata temu.

Moja Rodzina kojarzy mi się z ukochaną Chorwacją, do której tak często wracam z mężem i Córeczką. Ten piękny kraj daje nam zawsze ukojenie i jest źródłem pięknych wspomnień i przygód. Jest naszą wyspą!

Fot. 6 MÓJ DOM – to moja Rodzina, dzięki której odzyskałam SIEBIE.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki.

NOWE TERAZ – PRZYSZŁOŚĆ

Moja perspektywa (na życie) uległa znacznym zmianom. Jestem teraz sobą w domu i w pracy. Obie sfery są dla mnie ważne i dają mi spełnienie. I na nich staram się koncentrować. Są dni, że wracają stare lęki, emocje, ale są częścią mnie i bez nich nie byłabym tym kim jestem. Kocham swoje życie! Ze wszystkimi jego aspektami, dobrymi i złymi wspomnieniami.

Wielką i oczekiwaną zmianą w moim życiu jest moja druga ciąża. Ta mała osóbką, która siedzi w moim brzuszku wypełni życie naszej Trójki. Ciekawa jestem Kim i Jaka będzie? Tym razem, czuję się nieco bardziej przygotowana na Jej przyjście, ale ... wiem, że znowu czeka mnie ogromny wysiłek uczenia się tej NOWEJ I NIEPOZNANEJ CODZIENNOŚCI.

Kolejna wielka zmiana, to fakt, iż po tych latach bycia poza dużym miastem, w zasadzie bycia na pograniczu różnych środowisk i światów (małego i dużego miasta), przenosimy się do Wrocławia. Do tego mojego ukochanego Wrocławia, który od dzieciństwa jest częścią mnie, a ja jestem częścią tego pięknego i tętniącego życiem miasta.

CZĘŚĆ I – BIOGRAFIA NIEPRZEŻYTA

Czy zmieniłabym coś w swoim życiu? Z pewnością chciałabym popełnić mniej błędów, które popełniłam. Ale czy gdybym ich nie popełniła byłabym tą samą osobą, którą jestem?